Wspomnienia z pobytu w obozie oficerskim w czasie drugiej wojny światowej / Offlag II-c - Woldenberg /

Na wstępie parę informacji o autorze niniejszych wspomnień - które wprawdzie zatarły się nieco w pamięci po czterdziestu latach, ale ich strzępy może zainteresują niektórych czytelników.

Otóż pragnę wyjaśnić, że kampanię wrześniową 1939r. odbyłem jako porucznik 7 pułku ułanów w brygadzie mazowieckiej i choć nie dokonałem żadnych czynów bohaterskich, dumny jestem, że w barwach kawaleryjskich, z szablą w dłoni dowodziłem plutonem wspaniałych żonierzy w tych tragicznych dla naszej Ojczyzny czasach.

Po całkowitym rozbiciu naszej jednostki przez nieprzyjaciela pod Krasnobrodem, w przebraniu cywilnym,na starym rowerze zakupionym od gospodarza wiejskiego, powróciłem do mego rodzinnego domu w powiecie łęczyckim, po pokonaniu 500 - kilometrowej trasy.

Niebawem zostałem aresztowany przez niemieckie władze wojskowe i w listopadzie 1939r. znalazłem się w obozie przejściowym w Nieuburgu, a potem byłem kolejno przewożony do obozów oficerskich w Itzehöe, Sandbostel,Lubeka i Woldenberg.

O pobycie w tym ostatnim pragnę napisać słów kilka,wyjaśniając przy tym, że są to moje osobiste wspomnienia i odczucia,które mogą jedynie uzupełnić nieco bogatą literaturę,publikowaną na omawiany temat.

Po przybyciu z liczną grupą kolegów do Offlagu II-c zostałem zakwaterowany w baraku 15a, przeznaczonym dla oficerów kawalerii, w którym ku mojej wielkiej radości spotkałem mego rodzonego brata Jerzego, również porucznika rezerwy 8-go pułku strzelców konnych.

Serdeczna atmosfera, koleżeństwo, pogoda ducha,cechująca moich kolegów, były to okoliczności, które łagodziły w sposób istotny wewnętrzne odczucia i pozwalały spokojnie przeżyć ten okres niewoli.

Patrząc z perspektywy kilkudziesięciu lat na te minione czasy, zacierają się w pamięci przykre i tragiczne nieraz sytuacje, a pozostają ~~w pamięci~~ momenty, w których młodzieńcza wesołość brała górę nad przykrą rzeczywistością.

Niedawno spotkałem mego współtowarzysza niedoli i serdecznego przyjaciela Rtm Edwarda Ksyka.

Wspominaliśmy "dobre obozowe czasy", a potem przyszła refleksja - dlaczego je tak nazywamy ?

Wyjaśniłem tę zagadkę psychologiczną:

Każda przyjemność zaczyna się od dobrego towarzystwa, a tego nam w obozie nie brakowało, a prócz tego żyliśmy nadzieją.

A dziś - towarzystwo podłe i beznadziejne. - A że w obozie było ciasno, brudno, zimno i głodno, to były okoliczności drugorzędne, do których można się było przyzwyczaić na przestrzeni pięciu lat.

Ktoś może zrobić mi zarzut, że jestem snobem. Być może, ale bywali gorsi, na dowód czego przytoczę rozmowę właśnie z Oflagu II-c w Woldenbergu /w Dobiegniewie/ prowadzoną w gronie przyjaciół.

Niejaki porucznik Nekanda Trepka twierdził uparcie, że jego ród pochodzi prosto od Rzepichy. Na co replikował Andrzej Popiel: " Co się przechwalasz Rzepichą, przecież to zwykła dziewka, którą Piask kupił od Popielów!".

Była to najbardziej snobistyczna rozmowa jaką słyszałem w życiu i wzbudziła wiele radości wśród przygnębionych sytuacją militarną i polityczną kolegów.

Warszawa była w gruzach, a w miarę posuwania się frontu wschodniego byliśmy stopniowo odcinani od wiadomości o naszych bliskich.

Każdy zadawał sobie pytanie: żyją jeszcze, a jeśli tak, to gdzie ich los skierował - w syberyjską tundrę, czy też wegetują gdzieś w zaułkach lub rezerwatach polskiej inteligencji.

Był sylwester 1944 roku, nieznośną atmosferę smutku i przygnębienia trzeba było przerwać szczyptą wesołości.

W zamkniętym szczelnie baraku oczekiwaliśmy godziny dwunastej przy amerykańskiej kawie i doraźnie zmontowanych występach

niektórych naszych utalentowanych kolegów. Jeden z nich śpiewał napisaną przez nas piosenkę:

"Ach jak to miło kiedy dzień
Zatopi blaski w nocy cień - i cicho zgaśnie.
Kiedy ostatni zamilknie krok
I zatopiony w cichy zmrok - świat cały zaśnie.

Ach w taką księżycową noc
Upojnych marzeń cała moc - serce zapełnia.
I kiedy człek na jawie śni
Na szybie bladym blaskiem lśni - księżyca pełnia.

O mili czy uchylić mam
Rąbka tajemniczych sam na sam - i wyznać szczerze
O czym to biedny jeniec śni
Gdy krążą cienie dawnych dni - jak nietoperze.

A więc otwarcie powiem już
Że nie o kąkach wonnych róż - o niczym więcej
Tylko by jak lat temu sześć
W zacisznej restauracji zjeść - sznycel cielęcy".

Ile razy mowa jest o przejawach złej organizacji, która jest rzekomo pochodną naszych cech narodowych, wspominam nasz samorząd obozowy w Dobiegniewie.
Dysponując minimalnymi środkami działania potrafiono zorganizować po mistrzowsku nasz przymusowy pobyt na 25 hektarach /40 m2 na jednego uwięzionego oficera/, na których znajduje się obecnie wielka chlewnia przemysłowa.

W jednym z baraków mieściła się kaplica obozowa z piękną rzeźbą Matki Boskiej w ołtarzu, dłuta Popławskiego. Odbywały się w niej licznie uczęszczane nabożeństwa.
Księżom nie wolno było wygłaszać kazań. W okresie przedwielkanocnym kaznodziei zastępowali w czynnościach rekolekcyjnych trzej oficerowie: profesor historii, profesor filozofii i sędzia sądu najwyższego.
Przyznam otwarcie, że tak wspaniałych kazań nie słyszałem ani przedtem, ani potem.

Komisja kulturalno - oświatowa działała skutecznie organizując wykłady, kursy, wystawy i konkursy artystyczne.

Profesor Karol Górski w czasie pięcioletniego pobytu wygłosił ponad tysiąc wykładów z historii, które cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Czytelnia obozowa dysponowała kilkudziesięciu tysiącami książek, nadesłanych z różnych źródeł, a przede wszystkim z Czerwonego Krzyża.

Mieliśmy do dyspozycji teatr amatorski i teatr kukiełek, świetnie prowadzone przez zawodowych aktorów i reżyserów.

Dwie orkiestry/ symfoniczna i muzyki lekkiej/ umilały nam czas w kawiarni obozowej prowadzonej przez Stefana Czetwertyńskiego, absolwenta szkoły hotelarskiej w Szwajcarii i byłego właściciela Hotelu Europejskiego w Warszawie.x/
Przy kawiarni mieścił się klub brydżowy.

Kwitło również w obozie artystyczne rzemiosło. Dowiedziawszy się, że Żona moja została ograbiona z sygnetu, zamówiłem u kolegi z fachu puszkarza srebrny pierścionek z wygrawerowanym naszym herbem wg projektu prof. Brukalskiego.
Został wykonany przy pomocy prymitywnych narzędzi ze stopionej papierośnicy - niestety mogłem go wręczyć dopiero po powrocie do kraju.

Uprawialiśmy regularnie różne sporty, zwłaszcza siatkówkę i piłkę nożną, a rozegrany mecz " teatr - kontra orkiestra" wywołał salwy śmiechu licznie zgromadzonych kibiców.

Amatorzy pracy na roli mogli uprawiać ogródki o powierzchni 1 m2 na osobę. Wspólnie z moim bratem Jerzym uprawialiśmy 5 m2 / w tym 3 m2 dzierżawione od kolegów za połowę plonów/.

W izbie chorych pracowali nasi koledzy lekarze, którzy nie mieli większych kłopotów z chorobami przewodu pokarmowego, z powodu stałej diety, którą z konieczności przestrzegaliśmy.

---

x/ Po powrocie do kraju Stefan odremontował częściowo Hotel Europejski i uruchomił w nim restaurację już w 1945r. Został aresztowany, a gmach hotelu przeznaczono na kwaterunek wojskowy. W 1956r. wypuszczony na wolność opracował program ponownej adaptacji budynku zgodnie z dawnym przeznaczeniem, jako pracownik biura projektowego. Wreszcie emigrował za granicę

Niemieckie przydziały były - mówiąc delikatnie - skromne: jeden bochenek czarnego chleba dziennie na pięciu oficerów i jedna kostka margaryny na trzynastu. Prócz tego talerz zupy na obiad i parzone ziółka na śniadanie i kolację.
Gdyby nie paczki krajowe i przesyłane przez Szwajcarski Czerwony Krzyż / 15 kg intensywnej żywności miesięcznie łącznie z obu źródeł/ sądzę, że niewielu z nas przeżyłoby do końca wojny.

Mieliśmy początkowo kłopoty z gryzieniem i żuciem tego co nam do gęby dawano, co wynikało z braku dentystów wśród grona kolegów. Ale i ta trudność została pokonana. Nieliczni stomatolodzy nauczyli kolegów weterynarzy plombować zęby, prowadząc przeszkolenie na kościach z zupy. Sprowadzone fotele i sprzęt dentystyczny z Czerwonego Krzyża stworzyły warunki do otworzenia przychodni dentystycznej, działającej bez zarzutu.
Jest rzeczą ciekawą, że mimo ogromnego zapotrzebowania na tego rodzaju zabiegi, nie było w przychodni nigdy ogonków i wyczekiwania na swoją kolejkę, tak charakterystycznych dla dzisiejszych instytucji służby zdrowia.

Po zgłoszeniu i zarejestrowaniu - chory otrzymywał zawiadomienie pocztą obozową o dacie i godzinie przyjęcia. Gdy zjawiał się w oznaczonym terminie, oczekiwał go lekarz i pusty fotel. Poczta obozowa dysponowała serią znaczków wykonanych w formie drzeworytów przez miejscowych artystów. Stanowią one obecnie cenne pamiątki filatelistyczne.

Codziennie w południe we wszystkich barakach odczytywano komunikat o sytuacji militarnej i politycznej, pochodzący z zakonspirowanego przed Niemcami radia. Mimo licznych rewizji nie było ono nigdy znalezione i służyło nam do końca pobytu w Dobiegniewie.
Funkcje usługowe świadczone w stosunkach koleżeńskich sprawowane były nienagannie i z pełnym zrozumieniem potrzeb klienta, o czym świadczy przytoczony poniżej humorystyczny przypadek.

Jeden z baraków przeznaczony był przez Niemców dla oficerów polskich pochodzenia żydowskiego. Nie byli oni jednak prześladowani i korzystali z ogólnych praw jenieckich gwarantowanych

konwencją genewską.
Ponieważ okresowe kąpiele pod prysznicami były nader rzadkie, a w barakach dysponowaliśmy jedynie zimną wodą, koledzy Izraelici założyli u siebie odpowiednią instalację /baniak po marmoladzie zaopatrzony w sitko/ z której za cenę paczki papierosów można było korzystać. Koks do ogrzewania potrzebnej wody dostarczany był drogą nielegalną przez szeregowych obsługujących kuchnię obozową, również za papierosy amerykańskie.

Porucznik Jerzy Radoński stał właśnie namydlony pod strugami wody, gdy usłyszał sygnał alarmowy wzywający wszystkich jeńców do natychmiastowego stawienia się na placu zbiórek. Nie było mowy aby zdążyć na czas. W tym momencie uchyliły się koce osłaniające miejsce natrysku i ukazała się znajoma twarz ciemnego bruneta.
" Pan porucznik sobie nie przeszkadza" tu nastąpiło trzykrotne klaśnięcie - "Jeden chory na miejsce porucznika Radońskiego do baraku 15a" - "Pan porucznik się wykąpie i położy na pryczę, pan jest nasz stały klient".

Nie obserwuję takiej dbałości o klientów w naszych obecnych upaństwowionych przedsiębiorstwach usługowych.

Niemcy płacili nam żołd w formie "lagermarek", które można było przesyłać rodzinom do kraju. W związku z tym powstał w obozie tak zwany "Fundusz Wdów i Sierot", który przejmował wszelkie dochody wewnętrzne pochodzące np. z poczty obozowej, z kawiarni, odpłatnych imprez itp /Kawa nabywana była od kolegów, którzy ją otrzymali w paczkach Czerwonego Krzyża, a nie konsumowali jej osobiście/.

Osierocone rodziny oficerskie w kraju korzystały z tej nędznej pomocy. Możnaby ją porównać do ewangelicznego wdowiego grosza, który przeważył szalę.
Odsyłałem mój żołd rodzicom, mieszkającym wówczas w Warszawie, nie orientując się w jak oszukańczy sposób Niemcy przerachowują "lagermarki" na walutę obiegową w okupowanej Polsce.

Na drobne moje potrzeby zarabiałem grając szczęśliwie w karty.

Monotonne i uregulowane życie obozowe przerywane było tragicznymi incydentami, o których pisać nie będę, gdyż zrobili to za mnie inni. Świadczy o nich cichy cmentarz w pobliżu obozu, na którym spoczęło kilkudziesięciu kolegów zastrzelonych przez wartowników niemieckich w różnych okolicznościach.

Mnożyły się również próby ucieczki z obozu uwieńczone niekiedy powodzeniem, O jednej z nich nie znanej kronikarzom pragnę wspomnieć na tym miejscu.
Z obozowych kloak Niemcy wywozili fekalia beczkowozami, zaprzężonymi w kilkunastu Francuzów - szeregowych jeńców wojennych. W czasie czynności pompowania zajmowali oni miejsca siedzące w tym szlachetnym przybytku i handlowali papierosami "Voulez vous des cigarettes"? rozbrzmiewało ze wszystkich stron. Dwóch naszych kolegów dokonało innej odpłatnej transakcji. Zleceniobiorcy narodowości francuskiej wmontowali podwójne dno do beczkowozu i przy następnych czynnościach asenizacyjnych, korzystając z nieuwagi Wachmana załadowali do dolnej przegrody amatorów ucieczki. Naładowany fekaliami beczkowóz toczył się p po nierównym bruku w kierunku bramy wjazdowej.
Niestety, prowizoryczna konstrukcja okazała się niedoskonałą i podwójne dno zerwało się akurat przed wartownią. Z trudem wyciągnięto dwóch uciekinierów, którzy zanim poszli do aresztu musieli jeszcze dokonać gruntownej ablucji. W obozie opowiadano, że ucieczka się udała, gdyż złapano ich dopiero w Calais.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień, gdy opuściliśmy nasz obóz i w długiej kolumnie eskortowanej przez wartowników niemieckich podążyliśmy bocznymi drogami w kierunku zachodnim - w nieznane.

Po kilku dniach uciążliwego marszu z noclegami w budynkach inwentarskich znajdujących się na szlaku gospodarstw wielkorolnych, dotarliśmy do miejscowości zwanej obecnie Dziedzice w rejonie Pyrzyc w woj. szczecińskim.
Tam dopadł nas buszujący na tyłach armii niemieckiej patrol czołgów rosyjskich, pilotowanych przez samolot wywiadowczy. Po krótkiej strzelaninie, w której zginęło kilkunastu naszych kolegów, a wielu zostało rannych, wartownicy niemieccy uciekli

a na podwórze wjechały trzy czołgi z których załoga krzyczała do nas " udirajtie".

Połowa jeńców z Dobiegniewa została w tym momencie uwolniona. Pozostałych 3 tysiące oficerów znajdujących się już w marszu pognali Niemcy dalej na zachód i w konsekwencji wielu kolegów powróciło do kraju znacznie później, lub też "wybrało wolność"

Z pośród naszych towarzyszy niedoli w Dziedzicach też nie wszyscy wybrali wschodni kierunek ucieczki. Nietypowa grupa pięciu oficerów /rtm Stablewski, mój brat, por.Pułaski,por. Barański i ja/ postanowiła nigdzie na razie nie maszerować. Byliśmy zmęczeni i pragnęliśmy odpocząć u niemieckiego chłopa, gdzie zajęliśmy kwaterę.
Wreszcie najedliśmy się do syta i wyspaliśmy się nieco.

W zarekwirowanej w majątku Dziedzice bryczce i w siwego konia postanowiliśmy udać się do kraju. Niepokoiła nas jednak myśl, że przejeżdżając przez kraj niemiecki /front przebiegał jeszcze przez Poznań/ możemy być posądzeni o kradzież i surowo ukarani. Postanowiono wezwać sołtysa, aby wyjaśnić sprawę. Po chwili zjawił się ów przedstawiciel lokalnej władzy i rozejrzawszy się po izbie, w której siedzieliśmy, stanął nagle na baczność ze słowami " Herr Oberleutnant Stablewski". Jak się okazało, był to podkomendny Stefana z czasów pierwszej wojny światowej, który znalazł się w samą porę, aby potwierdzić prawdziwość przysłowia, że " góra z górą się nie spotka...".

Pożądane zaświadczenie o naszej nieskazitelności zostało niezwłocznie sporządzone i podpisane, po czym ruszyliśmy w świat. Nie ujechaliśmy jednak daleko. W mijanym folwarku zatrzymała nas gromada pijanych ukraińców, wywiezionych na roboty w te strony, którzy zdążyli już opanować sytuację, a nawet zaopatrzyć się w broń palną.
Żądali od nas dokumentów, których nie mogliśmy okazać, gdyż ich nie posiadaliśmy, wobec czego postanowili nas aresztować, zamykając w lochu. Wyratowała nas przytomność umysłu Pułaskiego który w pewnej chwili krzyknął " wot nasze dokunenty" i podsunął dzielnemu wojakowi metalowy numer rozpoznawczy z adnotacją "Dflag II-c".

Ta oznaka, zwana przez nas pogardliwie " Hundemarke" okazała się wystarczająca. Dostaliśmy jeszcze na drogę bańkę od mleka pełną okowity z miejscowej gorzeli.

Staraliśmy się omijać główne szlaki komunikacyjne. Robiliśmy to tak skutecznie, że wreszcie zbłądziliśmy. Rotmistrz Stablewski postanowił wstąpić do jakiegoś niemieckiego dworu, obok którego przejeżdżaliśmy, aby poinformować się o właściwą drogę do kraju. Długo nie wracał, aż zniecierpliwiony Pułaski poszedł go szukać.

Znalazł Stefana pijącego kawę z niemieckim dziedzicem, który w pierwszej chwili chciał go aresztować. Dopiero wyjaśnienie Stablewskiego, że wartownicy niemieccy nas opuścili i wobec tego wracamy do naszego obozu w Woldenbargu /z braku innych rozkazów/ uspokoiły jego praworządne zamiary i udostępnił do wglądu mapę oraz wskazał właściwy kierunek drogi.

Biegła znajomość języka niemieckiego u naszego kolegi ułatwiła dalsze kontakty i wzbudziła zaufanie rozmówcy, który zwrócił się z następującym pytaniem: "Czy jak przyjdą tu Rosjanie, to mnie powieszą"?

" Oczywiście"- odpowiedział Stefan.

"Aha, to dobrze wiedzieć, ale jednak zostanę na miejscu".

Mimo braku sympatii do naszych wrogów/ żeby nie użyć słowa " nienawiść"/ zaimponował nam nieznany pruski junkier.

Jechaliśmy dalej w kierunku na Krzyż, gdy w pewnym momencie jakiś cywil na rowerze czepił się ręką bryczki i zaczął jechać przy naszym boku. Już chcieliśmy mu zwrócić delikatnie uwagę, że nie pragniemy obcnego towarzystwa, gdy ze zdumieniem rozpoznaliśmy jednego z generałów polskich, który dzielił z nami losy jenieckie. Nie było mu do twarzy w wytartej kurtce i brudnej cyklistówce. Natychmiast zaprosiliśmy go do bryczki, a z braku miejsca por. Barański przesiadł się na rower. Była to przyczyna, dla której musieliśmy się zaopatrzyć w drugi zaprzęg w następnej miejscowości.

Jechaliśmy zatem elegancko dwoma ekwipażami, po trzech oficerów w każdym.

W okolicy Krzyża zaczęliśmy spotykać pierwsze oddziały wojsk radzieckich. Wszystkimi drogami, miedzami i bezdrożami ciągnęły luźne watahy na czołgach, samochodach, wozach, niekiedy nawet w zarekwirowanych karetach, a także pieszo. Żołnierz uzbrojony był w przeróżną broń i ciągnął ze sobą garnki i patelnie oraz pożywienie. Był to dla nas, przyzwyczajonych do wojskowego ładu i dyscypliny, dziwny widok.

Pierwszy raz spotkaliśmy się z żądaniem skierowanym do mojego brata : dawaj czasy".

Jerzy spojrzawszy groźnie na swego rozmówcę, uzbrojonego w karabin i granaty odpowiedział lakonicznie: "to sobie weź sam". Żołnierz zawahał się jednak i zrezygnował z pamiątki, którą niewątpliwie pragnął uzyskać od polskiego oficera wracającego z niewoli.

Dawną granicę polską przekroczyliśmy w Wieleniu, który po zachodniej / niemieckiej/ stronie Noteci płonął jak pochodnia. Z trudem przejechaliśmy przez rabowane i plądrowane dzielnice wśród żaru i dymu oraz zgliszcza wypalonych już domów. Po drugiej stronie rzeki byliśmy nareszcie w Polsce.

Niedaleko za Wieleniem spotkaliśmy kolumnę około tysiąca oficerów, naszych kolegów z obozu, maszerujących do kraju w zwartym szyku pod dowództwem pułkownika Zielke.

Nasz generał, przerażony tym widokiem, za nic nie zgadzał się na wyprzedzenie tego oddziału z obawy, aby nie być rozpoznanym. Nie było bowiem pewności jakie będzie ustosunkowanie nowych władz do wyższych oficerów wojska polskiego z okresu międzywojennego.

Nam spieszyło się jednak do domu. Namówiliśmy generała by dał się owinąć kocem i pod jego osłoną przemknąć się obok maszerujących kolegów.

Jechał więc pierwszą bryczką Stablewski, wioząc obok kukłę owiniętą starannie i zamaskowaną oraz wyposażony w chorągiewkę Czerwonego Krzyża, którą przezornie wzięliśmy ze sobą na wszelki wypadek.

W momencie, gdy mijał czoło kolumny, oddając należne saluty pułkownikowi Zielke, z drugiej bryczki dał się słyszeć donośny głos Pułaskiego" "Stefan stój, stój - Jak się czuje nasza

położnica?". Sądzę, że naszemu generałowi nie musiało być zbyt przyjemnie, gdy usłyszał to wołanie.

Byliśmy nareszcie w kraju. Wprawdzie omijaliśmy Poznań, gdzie toczyły się walki, a do końca wojny dzieliły nas jeszcze długie miesiące, ale świadomość tego, że jesteśmy wśród swoich, napawała nas radością, zmąconą jedynie troską o nasze rodziny.

Nikt z nas nie wiedział co się dzieje z naszymi najbliższymi i nie bacząc na zmęczenie pędziliśmy "co koń wyskoczy" w kierunku naszych domów.

Pierwszego rozczarowania doznał Pułaski, gdy zobaczył spalony dwór w Grzymiszewie w okolicy Konina.

Stopniowo rozstawaliśmy się z kolegami i ostatni odcinek drogi do Strzegomia odbywaliśmy we dwóch z moim bratem Jerzym.
Z niecierpliwością liczyłem ostatnie kilometry drogi.

W tym miejscu przytoczyć muszę wydarzenie naszego kolegi obozowego Amrogowicza, który podobnie jak my powracał do swego gospodarstwa na Kujawach.
W czasie "wędrówki narodów", która się wówczas odbywała, spotkał swego włodarza i obydwaj ucieszyli się serdecznie
"Co słychać z Twoją rodziną?, a co z Bartłomiejem ?, czy wszyscy bliscy przeżyli wojnę?" Padały szybkie pytania.

"A co we dworze?" spytał wreszcie Amrogowicz.
" A co ma być - nasr..." usłyszał w odpowiedzi. I rzeczywiście właśnie w takim stanie zastałem mój dwór w Strzegocinie.

Szczecin 26.11.82 r.

Stanisław Młodo-Mułak